Nr. 108. **We Lwowie Niedziela dnia 18. Kwietnia 1897 r.** **Rok XXX.**

Przedpłata wynosi we Lwowie:

Rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł. — kwartalnie 4 zł. 50 ct. miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 ct. miesięcznie.

Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięcznie 2 zł.

Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 50 fenigów — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego," plac Marjacki liczba 6 i 7. Telefon Nr 171.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Numer „Dziennika Polskiego" kosztuje 6 ct.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie niewyłączając niedziel i świąt o godzinie 8. rano.

Ogłoszenia przyjmują we Lwowie:

Biuro Administracji „Dziennika Polskiego," plac Marjacki l. 6 i 7 i Biuro dzienników Ludwika Plohna ulica Karola Ludwika l. 9.

We Wiedniu: pp: pp. Haasenstein & Vogler, (Otto Maas), M. Dukes, H. Schalek A. Oppelik's Nach., Rudolf Mosse i J. Danneberg; w Paryżu: C. Adam 38, rue de Varenne.

Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 10 centów od jednego wiersza drobnym drukiem (petit).

Doniesienia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po kronice za jeden wiersz 50 ct.

Prywatne korespondencje 12 i nekrologja 20 centów od wiersza.

Drobne ogłoszenia 1½ centa od wyrazu. Pomieszkania i sklepy po 1 ct. od wyrazu.

Reklamy w rubryce Nadesłano 30 ct. od wiersza.

Wydawcy i właściciele: Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański i Mieczysław Schmitt.

Chrystus zmartwychwstał!

Lwów 17. kwietnia.

...Umilknie na chwilę wrzawa polityczna, ucichną swary partyjne i zawiść stronnicza, bo świat chrześcijański obchodzi dzisiaj jedno z najwznioślejszych świąt, jedno z tych, które jest wyrazem głębokiej, niczem niezamąconej wiary. Bóg zmatwychwstał! Jak świat duży i szeroki rozbrzmiewa dzisiaj to hasło święte i wzniosłe, miljony ust powtarzają je z radością i z weselem — toć ta wiara w zmartwychpowstanie Boże musi być i szczera i głęboka i — prawdziwa! Dwa tysiące lat blisko minęło od owej doby, gdy Zbawiciel zstąpił do nas, by miłością świat okupić. Ale świat był zły i przewrotny, niecni ludzie nie chcieli słuchać nauk i przykazań miłości, nie mieli zrozumienia dla wysłannika niebios i Syna Bożego ukrzyżowali. Biedny świat, biedni ludzie! Ale co nieśmiertelne, nie zginie. Boga ludzie nie zgładzą. Chrystus ukrzyżowany zmartwychwstał, a z nim jego Boska nauka. Z dzwonnic świątyń pańskich dumny i wspaniały bije głos, a miljony kornie uchylają czoła i dziękczynną wznoszą do Pana zastępów pieśń. bo Syn Boży ukrzyżowany zmartwychwstał.

Dwa tysiące lat karmimy się tą wiarą, — państwa i narody przeminęły i ginęły, zmieniły się zwyczaje i obyczaje, przeobraziły się przekonania i pojęcia, bo to wszystko są rzeczy i urządzenia ludzkie, które w czasie powstają i w czasie przemijają — pozostała jednakowoż wiara czysta i niepokalana, wiara w Boga i w zmartwychpowstanie Bożego Syna. I pozostanie. Bo w nauce, którą Zbawiciel głosił światu jest coś wiecznego, coś, co przetrwać musi państwa i narody, coś, co obejmuje całą ludzkość i z nią trwać musi. I jeszcze jest jeden powód. dla którego Boska nauka Chrystusowa jest i być musi, dlaczego trwa i trwać będzie. Męczeńską swoją krwią na krzyżu Zbawiciel okupić chciał całą ludzkość — wszystkie jej grzechy przeszłe i przyszłe, a dopóki trwać będzie ludzkość, dopóty trwać musi wiara w Chrystusa. Trwać ona musi tembardziej, o ile dziś po dwóch tysiącach lat nam jeszcze daleko do urzeczywistnienia tych pięknych i wzniosłych prawd zawsze wiecznych i nigdy niewzruszonych, dla których objawienia grzesznej ludzkości Syn Boży zstąpił na ziemie, które krzewili następnie jego apostołowie. Spojrzmy wokół siebie! Rzućmy badawczy wzrok na stosunki, na nasze życie społeczne, polityczne i państwowe i zadajmy sobie pytanie, gdzie w nich wyraz nauk Chrystusowych, gdzie w nich urzeczywistnienie zasad, za których głoszenie Chrystus poszedł na krzyż? Miłość! — oto pierwsza i najważniejsza prawda w wierze Chrystusowej, miłość dla wszystkich, dla całej ludzkości. Dwadzieścia blisko wieków słuchamy tych nauk głęboko przejęci wiarą w ich prawdę i niewzruszoność, dwadzieścia stuleci modlimy się do Twórcy tej wiary i mimo ten olbrzymi okres czasu, w którym dokonały się światowe przewroty — wiara w sercu naszem w niczem się nie zachwiała, ale w życiu praktycznem nie zdołaliśmy urzeczywistnić zasad miłości chrześcijańskiej. Nigdzie! W życiu międzynarodowem, jedne państwa są ciemiężcami, inne ciemiężonemi, a jeżeli się czują równe co do sił i utrzymują ze sobą „najserdeczniejsze i najprzyjaźniejsze stosunki", na straży tej serdeczności i przyjacielskości stać muszą miljony bagnetów i setki tysięcy armat. Przyjaźń jeno dopóty zabezpieczona, dopóki obie strony sądzą, że ich siły zbrojne w równowadze. Niechaj jeno jedna strona poczuje się możniejszą, niechaj przypuszcza, — że silniejsza od drugiej — kwita z przyjaźni. Przykładów tylko szukać nam nie potrzeba, bo mamy ich podostatkiem każdego dnia i na każdem miejscu. A życie międzynarodowościowe, o ile ono nie jest zarazem samoistnem życiem państwowem? Jeno te państwa nie mają swarów i waśni narodowościowych, które pod względem narodowościowym są jednolite; wszędzie zresztą, gdzie dwie lub więcej narodowości objęte są jednymi słupami granicznymi, jesteśmy świadkami wojny wszystkich przeciw wszystkim. I na tem polu z miłości ani śladu, a przyjaźń, jeżeli istnieje, to chyba jeno dyktowana potrzebami chwili, względami na przemijający interes polityczny lub ekonomiczny. Najgorszej i najsmutniej przedstawia się jednak życie społeczne. Prawieby się zdawać mogło, że im większe czynimy tak zwane postępy cywilizacyjne, im szerszy nasz rozwój na najrozmaitszych polach działalności umysłu ludzkiego, tem dalej do urzeczywistnienia w życiu społecznem tych wzniosłych haseł, które stanowią kwintesencję wiary chrześcijańskiej. W zwartym szeregu, jak wrogie obozy nieprzyjacielskie. stoją przeciw sobie warstwy społeczne, gotowe każdej chwili do rozpoczęcia morderczej. bratobójczej walki. Wstrząśnięte i zerwane wszystkie węzły, uznawane zawsze przez wszystkich za niewzruszone i nietykalne, nie widzimy nic, coby ludzi stworzonych na podobieństwo Boga ze sobą łączyło i kojarzyło, a mamy przed sobą li szarą masę burzycieli, zwartą tłum — Kainów. I to jest stan, do którego ludzkość doszła w swoim dotychczasowym rozwoju umysłowym i w swoim kilkutysięcznym pochodzie cywilizacyjnym — to jest najsmutniejsze, a zarazem dla obecnej doby najcharakterystyczniejsze, że ten stan rzeczy poczytuje nam przedstawić jako ostatni wyraz postępu, jako wykwit i szczyt cywilizacji! Zaiste daleką od nas myśl poczytywania obecnego ustroju za ostatni szczebel w rozwoju ludzkości, za porządek idealny, po za którym nic na nie już żadnych pragnień. Wydaje nam się mianowicie, że ludzkość dopóty jeno może istnieć, dopóki mieć będzie pragnienia, dopóki dążyć będzie do ideału. Z urzeczywistnieniem ostatecznych pragnień, z osiągnięciem ideału rozwojowego, ludzkość spełniłaby swoje zadanie w rozwoju powszechnoświatowym i skończyłaby byt.

A więc ludzkość musi mieć pragnienie lepszej przyszłości, musi, póki jej istnienia, dążyć, ale nie wierzymy, by drogą, jaką nam wskazują dzisiejsi ludzkości mesjasze, ku lepszej prowadziła doli, by się przyczyniła do ulepszenia, udoskonalenia i uszlachetnienia ludzi. Budzeniem najniższych w ludziach instynktów, szczepieniem najpodlejszych w nich namiętności, kultywowaniem zwierzęcych w człowieku popędów, nie stworzymy ludzkości lepszej doli. Musielibyśmy zatracić wiarę we wszystko, co w człowieku, gdybyśmy chcieć na chwilę mogli przypuszczać, że tędy droga ideału.

Nienawiść i złość, zawiść i namiętność prowadzą do grzechu i zbrodni i one wypędziły pierwszych ludzi z raju. Od owej doby [illegible] stworzyć na ziemi coś, coby przynajmniej podobnem było do raju, coś, coby umożebniło pobyt na tym padole płaczu i łez. I wiara Chrystusowa, jako wiecznem jest jej istnienie, i jako boskim jest jej początek, daje nam ku temu wskazówki. Nie nienawiścią, nie jątrzeniem, nie budzeniem drzemiących w człowieku zwierzęcych instynktów, ale miłością szczerą i bezinteresowną, pielęgnowaniem wszystkiego, co w człowieku szlachetnego i pięknego, uczynim własny żywot znośniejszy i zbliżym się do ideału, który nam dał Boski twórca naszej wiary. To są odwieczne prawdy, o których niestety ludzie zapominają. A one, właśnie dlatego, że odwieczne, nie giną. Człowiek ich zgładzić nie zdoła, a choćby nawet w zaślepieniu swojem ludzie chcieli o nich zapomnieć i je wytępić, one przecież zmartwychpowstają i jak promienne słońce po mrocznej zimie swieżym, wiosennym zajaśnieją blaskiem. Jak głęboką jest nasza wiara, że Chrystus ukrzyżowany zmartwychwstał, tak szczerze wierzymy, że zmartwychwstanie i ostatecznie zwycięży jego nauka miłości wszystkich do wszystkich, że wówczas, ale też dopiero wówczas, rozpocznie się panowanie królestwa bożego na ziemi i będzie *pokój ludziom dobrej woli.*

O wychowaniu młodzieży rzemieślniczej.

W rozprawach nad sprawozdaniem wydziału krajowego z czynności w zakresie uzupełniających szkół przemysłowych sejm niejednokrotnie zaznaczył z naciskiem konieczną potrzebę religijno-moralnego wychowania młodzieży rzemieślniczej. Między innemi sejmowa komisja przemysłowa podniosła w sprawozdaniu z roku 1896, że uzupełniające szkoły przemysłowe działają dodatnio na moralność i karność młodzieży tylko tam, gdzie jest troskliwie pielęgnowany duch religijny, gdzie uczniowie słuchają egzort, uczęszczają na msze św. i przystępują do św. Sakramentów, że zarządy takich szkół nie mają powodu skarżyć się na krnąbrność i wybryki uczniów. Przeciwnie — jak to konstatuje sejmowa komisja przemysłowa — w szkołach, w których uczniowie nie wykonywują praktyk religijnych, zarządy skarżą się na trudność utrzymania karności w czasie nauki, na swawolę terminatorów po za szkołą. Udzielanie nauki religji, przepisanej programem naukowym tylko na lekcjach szkolnych bez odbywania praktyk religijnych nie, wyczerpuje zadań wychowania religijno-moralnego.

Wykonywanie tych praktyk nie uwłacza w niczem obowiązkom terminatorów wobec ich pryncypałów. W myśl §. 100 ustawy przemysłowej majstrowie mają nawet obowiązek czuwania nad obyczajami swych terminatorów i przestrzegania, ażeby terminatorowie spełniali obowiązki i praktyki religijne. To mając na względzie oraz działając w myśl intencji sejmu, wydział krajowy dąży do tego, ażeby we wszystkich uzupełniających szkołach przemysłowych uczniowie oprócz pobierania nauki religji na lekcjach szkolnych, odbywali wspólnie pod przewodnictwem i nadzorem szkoły praktyki religijne, a między innemi, ażeby w niedziele i święta uroczyste uczęszczali na msze św.

O tem zdał wydział krajowy sprawę sejmowi w czasie ostatniej sesji sejmowej, a sejm zaaprobował to stanowisko wydziału krajowego.

Wobec tego wydział krajowy wezwał wszystkie wydziały szkolne uzupełniających szkół przemysłowych, ażeby — o ile to już dotychczas nie nastąpiło — postarały się w porozumieniu z ks. katechetami, iżby począwszy od roku szkolnego 1897/98 uczniowie pod przewodnictwem i nadzorem szkoły — oprócz spełniania innych praktyk religijnych — w niedziele i święta uroczyste uczęszczali wspólnie na msze św. Wzmocnienie ducha religijnego i dążenie do poprawy obyczajów między młodzieżą rzemieślniczą na tle nauki religji i praktyk religijnych staje się dziś bardziej aniżeli kiedykolwiek obowiązkiem szkoły, mającej na celu wychowanie rzemieślnika.

Wydział krajowy nie wątpi, że wydziały szkolne w całej pełni uczynią zadość temu wezwaniu, że dołożą wszelkich starań i czuwać będą nad tem, ażeby szkoła przyczyniła się nie tylko do podniesienia poziomu wykształcenia terminatorów, ale także wpływała na ich charaktery i wychowała ich na prawych i pożytecznych obywateli kraju.

Podobne wezwanie wystosował wydział krajowy również do magistratu m. Lwowa i Krakowa co do uzupełniających szkół przemysłowych istniejących w tych miastach.

Kronika włoska.

Medjolan 15. kwietnia.

(Z humorystyki parlamentarnej. — „Prima Aprilis." — Opera. — Kilka słów o kolonji polsko-ruskiej).

Na jednem z ostatnich posiedzeń parlamentu włoskiego odegrała się wesoła scena. W czasie poetycznie pięknej mowy Cavalottiego, jeden z *usciere* — odźwiernych — przystąpił do arcyeleganckiego młodego posła, dotknął palcem jego ramienia i poprosił z sobą. W pokoju komisji legitymacyjnej, dokąd się udał młodzieniec, odbył się następujący djalog:

— Gdzie jest pańska metryka? — pyta przewodniczący.

— Jeżeli ją panu pokażę, to sam sobie zaszkodzę — odpowiada poseł.

— Ta wymijająca odpowiedź potępia pana. Mów pan.

— Dopiero w sierpniu skończę lat trzydzieści.

— Dobrze, możesz pan iść.

I młodzieniec poszedł, ale już nie do sali obrad. We Włoszech, tak samo jak prawie wszędzie, poseł musi posiadać ukończonych lat trzydzieści.

Młodzieniec ten nazywa się Ventura, a jest bohaterem romantycznej historji. Był on *fattore* — rządcą — na pewnym zamku książęcym. Właścicielka, siostra magnata węgierskiego i rzymskiego patrycjusza, upodobała sobie młodzieńca i umierając, zapisała mu miljony, przy których posiadaniu utrzymał się mimo procesów. Pan Ventura udał się do miasta, w którem książęta na kamieniach się rodzą, do Neapolu, znalazł tam księcia, który go za sowitem wynagrodzeniem adoptował, i stał się *principe di Carovigno.* Księciu zachciało się być posłem, a ponieważ wszystkie orkiestry gminne w jego okręgu miały liche instrumenty, przeto posprawiał im nowe, ponieważ wieże kościelne były obdarte, kazał je ponaprawiać — słowem, gdzie się tylko dało coś pomódz, pomagał, nie szczędząc grosiwa, ba! nawet gasił pragnienie swych wyborców w Tuscji. Poczciwiec! Teraz będzie musiał uledz ponownemu wyborowi, a w co będzie pchał pieniądze, jeszcze niewiadomo.

Ciekawa komisja legitymacyjna zaprosiła także do siebie pana markiza Karola di Rudini, który musiał się przyznać, iż, jak *principe* di Carovigno, również nie posiada lat 30! W jaki sposób młody markiz stał się posłem, niewiadomo, ma on jednak posiadać wpływowego ojca, który „przypadkiem" jest prezydentem ministrów. Jego polityczne zdolności poznał dotychczas tylko klub arystokratycznej śmietanki rzymskiej *circolo dei cacciatori* przy stole, pokrytym tem samem zielonem suknem, jakiem są pokryte stoły doplomatyczne.

Doskonały dowcip udał się humorystycznemu pismu w Genui *Il Successo.* W ostatnich dniach marca rozeszła się wieść po mieście, iż papugi — a w Genui jest ich mnóstwo, — są rozsadnikami chorób tuberkulicznych; urząd sanitarny miejski kazał więc rozlepić plakaty, w których wzywał mieszkańców do stosowania środków ostrożności, pierwszego kwietnia zaś ukazał się na murach nowy plakat, opatrzony herbem miasta, a wzywający wszystkich właścicieli papug, aby je celem zbadania przynieśli natychmiast na ratusz. Plakat był podpisany *Il Successo* zamiast *Il Sindaco,* co jednakowoż nie każdy spostrzegł. Wkrótce ulice Genui zaroiły się służącymi, dźwigającymi papugi w stronę ratusza. W biurach dziwiono się początkowo tej papuziej inwazji, w końcu jednak, gdy spostrzeżono żart, zaczęto wyśmiewać wziętych na kawał. Miasto ubawiło się doskonale, a *Il Successo* odniosł sukces prawdziwy.

Premjera Franchestiego, o której pisałem w poprzednim liście, „Mr. de Pourceaugnac", doczekała się nareszcie wystawienia w teatrze *La Scala* i to nawet z powodzeniem. Z trzech aktów pierwszy podobał się najlepiej, a pierwszy final musiał być powtórzony. Akt drugi już mniejsze wywarł wrażenie, natomiast trzeci, posiadający wiele humoru, uratował całość. Na przedstawieniu była cała śmietanka arystokracji medjolańskiej, książę Aosta, księżna i księżniczka Letycja. Kompozytora wywołano z dziesięć razy.

Co do tutejszej kolonji polsko-ruskiej to w istocie nie wiem, co zależy im na tem, aby się dowiedzieć, kto się kryje pod temi skromnemi literami *Z—i.* Ot, zwyczajny sobie człowiek, przypatrujący się bacznie wszystkiemu, co się tutaj dzieje i mający przytem ochotę do... przelewania swych myśli i obserwacyj na papier. Że się dobrze nie dzieje, to fakt niezaprzeczony, że przy odrobinie dobrych chęci i chociaż pozoru szacunku dla siebie samych mogłoby się dziać lepiej, nie ulega kwestji. Patrzę na tych ludzi od lat kilku i w istocie pojąć ich nie mogę. Wszędzie opowiadają — z małymi, bardzo małymi wyjątkami — jak ich wielbiono za granicami, naturalnie tylko w Rosji, albo w Galicji — obsypywano kwiatami, wieńcami i darami, o mały włos, że nie wrzeszczą na całe gardło, iż wyprzęgano im konie z powozu, który po przedstawieniu odwoził ich do domu — słowem w jezyku są to ludzie wielcy — gdy jednak przyjdzie do jakiegoś zaangażowania się — to jak mówimy po polsku: „dudy w miech", wielkość znika i pozostaje tylko jaki taki głos — częściej „niższego stopnia", napastuje się wprost impresarjów i w rezultacie podpisuje się kontrakt na parę występów. Ale jaki kontrakt! Wtedy, gdy się „zagranicą" brało po kilkaset — jak opowiadają — rubli albo guldenów za występ, tu albo się do tych występów dopłaca, albo się nic nie bierze, w najlepszym razie zaś tyle, że nie możnaby było za to kupić nietylko psiej budy, ale nawet za te pieniądze nie byłoby tej budy czem pokryć. I to są artyści, roznoszący sławę imienia polskiego po świecie!

To też do tego stopnia, że użyję tego wyrażenia, znarowili włoskich impresarjów — co prawda to jest to także gatunek ludzi *minorum gentium,* — że gdy usłyszy Polak lub Polka, lub ruski albo ruska — zaraz nadstawia łapę i jak prawdziwy handlarz i geszefciarz pyta: „ile pan lub pani da za występ?" Następuje targ, który stosownie do wartości głosu petenta, kończy się mniej lub więcej łagodnymi warunkami. O korzystnych, jako takich, nawet mowy niema i być też nie może.

Pocóż się więc przyjeżdża do tego Medjolanu? Uczyć się? Tak, są tacy, ale to nienaturalne niemal wyjątki. Pieniądze robić? I to nie, bo Włoch lubi tylko swoje makarony. Pocóż więc? Po reklamę! Lada świstek, naturalnie dobrze zapłacony, napisze kilka wierszy, to

WIELKANOC.

Szmaragd rozsiany po polach, listki na drzewach wydobywające się z uwięzi pączków, śpiew skowronka, owego zwiastuna wiosny, kołyszącego się w czystym błękicie nieba, świadczą, że przyroda obudziła się z długiego snu zimowego. Wiosna, długo oczekiwana wiosna, według wiary ludu, hoża, wiejska krasawica, którą zima trzymała w niewoli po za dziesiątą górą i po za siódmą rzeką, wyrwała się z pęt, w które ją zima okuła i frunęła w świat, niosąc za sobą słońce, balsamiczne tchnienie powietrza, budząc ze snu kwiaty i drzewa.

Równocześnie z obudzeniem się ze snu przyrody, obchodzimy uroczystość Zmartwychwstania Chrystusa Pana, obchodzimy jedno z największych świąt w katolickim kościele, pamiątkę dnia, w którym Chrystus po śmierci poniesionej na krzyżu za okupienie ludzkości, powstał z martwych, aby stwierdzić swe słowa i swą naukę.

Już od środy popielcowej właściwie zaczyna się okres świąt wielkanocnych, gdyż od dnia tego rozpoczyna się post wielki, poprzedzający święto Zmartwychwstania. W wiekach pierwotnych liczono go na dni 40, 50, 60 i 70; dla usunięcia przeto takiej różności między chrześcjanami papież Wigiljusz na soborze aureljańskim naznaczył 40 dni postu. Wszyscy prawie wyłączali od postu niedziele, a niektóre kościoły wyłączały nawet pewne dni w tygodniu. Podług tych wyłączeń dla dopełnienia dni 40 pierwej lub później pościć zaczynano. Najpowszechniejszy u dawnych chrześcjan był zwyczaj zaczynania wielkiego postu od niedzieli, siedmiu tygodniami przed niedzielą męki Pańskiej, lub dziewięciu przed Wielkanocą, nazwanej po łacinie *septuagesima.* Ślad tego zwyczaju zachował się dotąd w modlitwach i obrzędach kościelnych.

Po przyjęciu wiary chrześcjańskiej Polacy pościli przez dziewięć tygodni przed Wielkanocą, zaczynając od *septuagesimy.* Ztąd niedziela ta i dziś w naszym języku zwie się „starozapustną". Dopiero w r. 1235 papież Inocenty IV. post wielki do dni 40 skrócił i od środy popielcowej zaczynać go polecił.

Po niedzieli starozapustnej następuje tak zwana *sexagesima,* po polsku mięsopustna, od zwyczaju dawnych chrześcjan, którzy od tej niedzieli wstrzymywali się zwykle od jedzenia mięsa. Po niej następowała niedziela zapustna, ostatnia przed wielkim postem.

Ścisłe zachowywanie postu szczególniej było przestrzegane w pierwszych wiekach chrześcjaństwa. Sobor toledański w r. 653 zalecił, aby ci, coby bez potrzeby jedli mięso w wielkim poście, nie jedli go przez rok cały i do komunji wielkanocnej przypuszczeni nie byli. Taka surowość postu trwała prawie do XIII wieku, później dopiero stopniowo wolniała. Zaczęto naprzód dozwalać w dni postne używać nabiału wiernym w krajach północnych (mimo to wieśniacy nasi tak polscy jak i ruscy przeważnie przez cały post nabiału nie używają), gdzie o oliwę trudno i gdzie spóźniona zima wzrost roślin na post zalecanych wstrzymywała. Prócz nabiału wprowadzono lekki posiłek wieczorem, zwany **kollacją.** Ten wyraz wzięty został od zakonników, którzy wieczorem zgromadzeni, słuchali czytania dzieł duchowych i prowadzili duchowne rozmowy po łacinie *collationes* zwane. Po rozmowach tych w dni postne dawano im lekki posiłek, który także *collatio* nazwano, jako po duchownych ćwiczeniach następujący. Ztąd u nas w XIII wieku uczty wieczorne nazywano *kollacjami,* na których przepych i zbytek w jadle i napoju narzeka Bielski, a nazwa ta dotąd pozostała i służy do oznaczenia posiłku wieczornego.

We środę po trzeciej niedzieli postu zwyczaj jest dzwonienia o godz. 12. w południe po kościołach dla obwieszczenia wiernym, że połowa postu upłynęła. Dzień ten nazywamy „środopościem". Podczas tego dzwonienia lub pod wieczór utrzymuje się dotąd między naszym ludem zwyczaj tłuczenia pod drzwiami garnków, zwykle napełnionych popiołem.

Piąta niedziela postu nazywa się „niedzielą męki Pańskiej" dlatego, że od tej niedzieli kościół zaczyna rozpamiętywać mękę Zbawiciela i do niej nabożeństwo i obrzędy swoje stosuje.

W szóstą i ostatnią niedzielę postu kościół obchodzi pamiątkę tryumfalnegp wjazdu Zbawiciela do Jerozolimy. W dzień ten święcą palmy; robią je przeważnie z gałązek wierzb, pokrytych „kotkami". Palmy te roznoszą pobożni do domów i starannie przechowują przez rok cały. W dawnej Polsce, w czasie wielkiej burzy okadzano niemi domostwo dla zasłonienia go od piorunu, a lud w chorobie, szczególniej gdy się rany pokazują, czyni to samo. Kotki z nich, czyli pączki połykano, uważając to za skuteczne lekarstwo na ból gardła i kaszel. Do niedzieli kwietnej i wierzby, która w dniu tym jako palma wielką odgrywa rolę, przywiązanych jest mnóstwo rozmaitych obrzędów i wierzeń.

Od niedzieli kwietnej zaczyna się tydzień „wielki", „świętym" lub „męczeńskim" nazwany, a dawniej „odpustowym", ponieważ pokutnicy otrzymywali w nim rozgrzeszenie i przystępowali do stołu Pańskiego, a nadto „suchopostnym" dlatego, że pobożni przez ten tydzień suchych tylko pokarmów używali.

W Wielki czwartek w wielu okolicach wstają ludzie przed wschodem słońca i spieszą po wodę zdrojową, która w milczeniu czerpana ochrania od wielu chorób, mianowicie od skórnych i ocznych. Parobczaki, szczególniej mocnej wiary, rzucają się nawet do rzeki, skutkiem czego potem nieraz potężnie febra ich przetrzęsie. Cudowną tą wodą obmywają dobytek i całe mieszkanie wraz ze sprzętami w przekonaniu, że wtedy w domu wszystko pójdzie pomyślnie. Masło tą wodą płókane nietylko nie gorzknieje, ale i leczy od wszelkich chorób. Woda ta ma mieć moc cudowną dla tego, że o północy, na pamiątkę zgonu Zbawiciela, wszelka woda płynąca przemienia się w krew i że właśnie krew ta tak cudownie działa. Jajo zniesione przez kurę w wielki czwartek i przechowywane przez rok cały ma chronić dom od pożaru.

Legendy, które lud opowiada o wielkim piątku i o drzewach, przytoczyliśmy wczoraj. Przed 80 laty jeszcze był zwyczaj w Warszawie, że dziatwa miejska w wielki piątek robiła ze słomy bałwana i ubierała go w rozmaite szaty; bałwan ten przedstawiał Judasza. W kieszeń kładli mu worek z trzydziestu kawałkami szkła, jakoby tyluż srebrnikami, za które sprzedał Chrystusa Pana. Oprowadzali go po ulicach Warszawy, następnie wciągali na wieżę kościoła Panny Marji, zrzucali na bruk, za włosy targali, bili i przy odgłosie grzechotek i przekleństw w Wiśle topili.

Tydzień ostatni przed Wielkanocą poświęcają gosposie wiejskie na przygotowania przedświąteczne; pieką ciasta, placki, biją wieprze, przyrządzają wędliny, a oprócz pracy około zapewnienia stołownikom obfitego jadła, czyszczą i stroją swe mieszkania. Przez cały rok też ani razu chata wiejska nie wygląda tak uroczyście i kokieteryjnie, jak w święta Wielkiej nocy. Wszędzie czyściutko obrazy przybrane papierowymi kwiatami, na ścianach zawieszone rozmaite ozdoby.

W grę tu wchodzi nietylko rywalizacja z sąsiadkami, lecz nadto wzgląd na księdza, który w Wielką sobotę święci przygotowane pokarmy, przygotowane święcone.

Święcone, to odwieczny, staropolski zwyczaj, wspólny zarazem dworom i chatom najuboższym, przechowujący się mimo tylu odmian społecznych i politycznych w niepokalanej czystości do naszych czasów. Święcone znają tylko słowiańskie narody. Na dworach dawnych magnatów polskich święcone bywało zawsze wspaniałe. Przytoczymy tu opis święconego, wyprawionego na nieświeskim zamku przez ks. Radziwiłła Sierotkę. Święcone to było dziełem książęcego kuchmistrza, Włocha Loga, który w pierwszej zaraz sali ustawił na stole trzy potężne pasztety. W jednym ukryte było żywe ptactwo, mnóstwo kuropatw, jemieluch, gołębi jarząbków, które po zdjęciu pokrywy z pasztetu frunęły co rychlej na wolność przez otwarte w sali okna. Większą jeszcze niespodziankę kryła w sobie druga piramida, w której siedział karzeł, w cielisty odziany trykot, cały spowity w kręgi kiełbasy. Przedstawiał on Laokoona, pasującego się z gadami Minerwy.

— A ten żyje! — zawołał książę Sierotka z udanym gniewem.

— *Decoctus erat, sed resurrexit* — odparł układny Loga i zwrócił uwagę gości na trzeci z kolei pasztet, w którym po rozbiciu kruchej pokrywy, ujrzano karlicę, Djanę, przykowaną salcesonem do podstawy pasztetu. Na nią czychał z rozwartą paszczą olbrzymi szczupak, któ-

się potem posyła do kraju, trąbi po dziennikach krajowych i wraca potem do domu w charakterze *einer gemachten Grösse!*

A przytem jakie tu budujące stosunki w tej kolonijce! Że się to między sobą, intryguje, podejrzywa, obmawia i w rezultacie podstawia nogę u impresarja bez względu na to, czy ten, któremu się „pomaga do sławy", ma ekshaletowy tenor, czy zerwany baryton, czy ta pani ma sopran, mezzo-sopran lub alt! I kto tu zresztą przyjeżdża! Jest na to jedno tylko wyrażenie, ale to byłoby cokolwiek za... nieartystyczne.

Rzecz prosta, iż są wyjątki, ale te się trafiają tak rzadko, jak przypuśćmy porządna ryba w Pełtwi po za Lwowem.

Więcej innym razem — a teraz — wesołych świąt. *Z— i.*

Z prasy słowiańskiej.

(*d. K.*) Obecna sytuacja parlamentarna w Wiedniu, przystąpienie koła polskiego do większości, składającej się z Czechów, Słowian południowych i konserwatystów niemieckich żywo bywa komentowane przez całą prasę słowiańską w Austrji. Zmiana tonu, w którym dotychczas dzienniki słowiańskie przemawiały o naszej reprezentacji w Wiedniu i Polakach w ogóle, dokonała się najpierw w głównym organie Młodoczechów pragskich *Narodnich Listach*, które nagle zrozumiały, że polityka Słowian w Austrji wobec wszechpotęgi wpływów niemieckich, nie może żadną miarą być polityką, żądającą ostatecznego załatwienia rachunków, jakie my Słowianie mamy z Niemcami, ale polityką względną, taką jak ją, biorąc rzecz ryczałtowo, kolo polskie prowadzi.

Pod nagłówkiem *La situazione a Vienna* pisze chorwacki *Il Pensiero Slavo*, co następuje:

„Chociaż dymisja hr. Badeniego nie została przyjętą, chociaż gabinet jego nie jest, rzecz ściśle biorąc, parlamentarnym, i chociaż w gabinecie jego nadal zasiadają Gautsch i Gleispach, to jednakowoż położenie w Wiedniu nas zadowalnia. Co prawda, nie jesteśmy pełni entuzjazmu, nie jest tak wszystko, jakbyśmy tego pragnęli, jednak do zadowolenia mamy słuszne przyczyny. Są one dwie, główne. Pierwszą jest rozporządzenie językowe dla Czech, wprowadzające do urzędów język czeski.

„Rozporządzenie to kładzie faktycznie kres hegemonji niemieckiej. Czesi są narodem dzielnym, politycznie dojrzałym i potrafią zdobywać dla praw swoich poszanowanie. Ponieważ pierwszy krok jest najtrudniejszym, a dziś go rząd uczynił, przeto nie ulega wątpliwości, że uregulowanie stosunków językowych będzie przeprowadzonem i w innych krajach, że ostatecznie Chorwaci i Słoweńcy otrzymają to, co się im słusznie należy.

Drugą przyczyną, która nas napawa zadowoleniem i daje pewną rękojmię na przyszłość, jest koalicja wszystkich Słowian i ich przyjaciół — konserwatystów. Jest to koalicja, która ma podstawę w autonomji i równouprawnieniu. Koalicja ta tworzy dzisiaj większość, wchodzą w jej skład Młodoczesi, jako czynnik najsilniejszy i Słowianie południowi, którzy we wszystkich kwestjach ważniejszych będą językiem u wagi. Prawdą jest, że zasiadają w niej i Niemcy, którzy chcą rząd popierać, ale poparcia rządowi, ile tendencje jego nie będą przeciwne interesom Słowian, nie myślą i Słowianie odmawiać. Jeżeli więc rachuby nas nie omylą, Słowianom w Austrji uśmiecha się lepsza przyszłość."

Mniej więcej w tym samym duchu przemawia lublański *Slovenski Narod*. W artykule zatytułowanym *Sma-li* (śmiejmy) *zaczetkom* (na początku) *nove dobe?* pisze:

„Stosunek rządu do większości parlamentarnej dotychczas się jeszcze nie wyjaśnił. Znalazła się większość, która przy dyskusji nad wybranymi galicyjskimi i przy wyborze prezydentów solidarnie występuje, ale dotychczas nie połączyła się ona w silną falangę.

Z naszego stanowiska życzymy sobie, aby się utwierdziła większość złożona ze Słowian i konserwatystów niemieckich w tej nadziei, że drzewa ultramontańskie zbyt nie wybujają, oraz, że nam łatwiej będzie przy pomocy konserwatystów zdobyć dla języka naszego prawa. Z połączenia się stronnictw koserwatywnych ze Słowianami mogą też dla nas wyniknąć następstwa pożądane tak pod względem narodowym, jak i ekonomicznym; może ono być w rzeczywistości początkiem doby nowej, zupełnej autonomji i równouprawnienia.

Cokolwiek dalej nastąpi, to jedno jest pewnem: przeciw Słowianom, jeżeli są ze sobą zgodni, żaden rząd nie będzie mógł występować. Od posłów słowiańskich, od ich energji, przezorności i taktyki, zal-ży wszystko!

Początek zrobiono. Czesi wywalczyli sobie równouprawnienie języka czeskiego z niemieckim. Jeżeli słoweńscy posłowie potrafią wyzyskać swoją sytuację, rząd prędzej czy później uczyni zadość ich żądaniom. Nowa doba nastanie dla Słoweńców, jeżeli posłowie słoweńscy pokażą się mężami, którzy żądaniu swemu dorośli."

Z kolonij polskich.

Największą w południowej Ameryce kolonję polską „św. Mateusz" opisuje prof. J. Siemiradzki w następujący sposób w *Gazecie handlowo-geograficznej*: Kiedy przed pięcioma laty, w towarzystwie ściśniętych jak śledzie na pokładzie malutkiego parowca 100 Kujawiaków wylądowałem na ostatnim podłówczas krańcu kolonji polskich nad Iguassem pamiętam jeszcze dotąd wrażenie ogromnej pustki, jaka na wrącej dziś ruchem handlowym rzece panowała. Przez całe dwie doby podróży od Porto Amazonas spotkaliśmy zaledwie dwie krajowe „kanoy" — niby nasze „duszogubki" polskie z jakiej kłody wydrążone, a zwarty las po obu brzegach Iguassu rozlegał się na mil kilka wokoło.

„Miasto", którego posiadam z owego czasu ciekawą fotografję, przedstawiało się jako kilkomorgowa, dymiąca zgliszczami poręba, zawalona olbrzymiemi kłocami araukaryj i palisandru, wśród której widniały gdzieniegdzie zaledwie tylko z napisami „ulic", będących dopiero w projekcie. W środku poręby, pośród osmolonych kłoców starodrzewia wznosił się skromny krzyż drewniany jako znak placu przeznaczonego na kościół. Budynków w owem „mieście" podówczas było pięć: dom administracji rządowej, barak dla emigrantów, oraz trzy „wend" czyli sklepiki, z których jeden posiadał pp. Bodaka i Flizikowskiego. W dwóch innych sklepikach siedzieli Brazyljanie: Plinio i Marquez. Opodal krzątali się cieśle, przygotowujące materjał na kościół i parę domów prywatnych. Emigranci, nie mający jeszcze wydzielonych gruntów, mieszkali w baraku rządowym, większość atoli w szałasach z bambusu, skleconych rządami przy drodze, tworząc *sui generis* ulicę, na środku której baby warzyły strawę pod otwartem niebem.

Od „miasta" szły w głąb lasu przecięte „pikady" czyli wąskie ścieżki, w linjach prominestno się rozbiegających na wszystkie strony świata. Co 200 metrów widniał sklecony z tarcic domek — a domki takie powstawały coraz dalej, wszywając się w głąb puszczy. Gdziekolwiek było stąpić, słyszało się tylko stuk siekier i zgrzyt piły, a obok chatyn widniały mniejsze lub większe płaty zielonej runi żyta i miłode pędy kukurudzy. Jedna z tych linij — idąca ku wschodowi — połączyła się stopniowo z sąsiednią kolonją polską, Agua Branca (Zabranka) druga — linja Iguassu — poszła na zachód ku przyszłej polskiej również osadzie Rio Claro.

Po wyjeździe moim na Mateusz spadały klęski jedne po drugich. Powódź, głód, tyfus, wreszcie krwawa wojna domowa, prowadzona z dzikością i barbarzyństwem indyjskiem, podcięły w zarodku rozwój tej młodej osady. Tu i tam rozegrały się krwawe epizody zamordowania starca Porteza, do której przyłożył rękę szef tamtych stron, a czem pozosta krwawa pamięć synów zamordowanego, którzy złapanym polskim powstańcom płatali brzuchy i wyrywali serca. Trzy lata trwała zawierucha. Skończyło się powstanie, garstka niedobitków polskich powróciła do swoich chatup, korzystając z ogólnej amnestji i powoli wszystko wróciło do dawnego trybu.

We wrześniu zeszłego roku znalazłem się po pięcioletniej nieobecności ponownie w Mateuszu i nie poznałem ani miasta ani samej rzeki Iguassu. Zamiast dawnej pustki — rzeka ta wodnie nadzwyczaj ożywiony, blisko 300 łodzi, galarów i barek spławia w górę rzeki setki tysięcy cetnarów *herva mate*, we dół zaś mąkę, cukier i inne towary dla kolonji przeznaczone; zamiast nędznej łodzi parowej „Visconde" kursuje dzisiaj 6 parowców aż do Porto Uniao.

Z pod szerokich kapeluszy flisaków i zbieraczy *hervy* wyglądają konopiaste czupryny Maćków i Bartków, w cieniu palm i araukaryj rozlega się wesoła nuta: „Oj danaż moja dana!" Dawne ścieżki, po których nawet pieszo nie zawsze przejść było łatwo, przetworzyły się w szerokie gościńce, wprawdzie nie zawsze bliskie ideału dróg europejskich, lecz bądź co bądź dostępne dla wozów, czego wyrazicielem jest wąsaty Maciek, woźnica dyliżansu, raz na tydzień dochodzącego, tu z Palmeiry. „Dylizans" ów, to zwykły chłopski wóz, ponalowany na zielono i pokryty płóciennym dachem.

Samo miasto zmieniło się do niepoznania: z pniaków wyciętych nie zostało śladu — szałasy emigranckie powędrowały o kilka mil dalej w głąb puszczy. Ulice, niegdyś wytyczone — dziś istnieją naprawdę, a chociaż domy są bardzo rozrzucone, placu tu nie brak, zawsze jednak osada robi już wrażenie małego miasteczka polskiego. Istotnie w porównaniu do innych miast i miasteczek, gdzie Polaków ze świecą szukać by trzeba, mają oni tutaj pewną przewagę, dzięki oparciu o kolonję, przylegającą zewsząd do osady.

Niemców tu prawie nie ma — przedstawicielem Germanji jest jedynie dom handlowy: „Burmeister, Thon et Co.", skupujący prawie cały zapas *herva mate*, zbieranej przez kolonistów polskich z nad Iguassu. Oprócz powyższej firmy, Niemców tu nie ma. Natomiast istnieje kilka firm polskich: Flizikowski, Stencel, Kuchenny. Flizikowski, który przybywszy przed kilkunastoma laty z Poznańskiego, uczciwą pracą a parobka dworskiego dobił się znacznego majątku, prowadzi również bandel *herva mate*, którą skupuje i zbiera w dobrach własnych, położonych tuż pod miastem. Jest kilku rzemieślników polskich, między innymi szewc warszawski, Troczyński, kilku cieśli, stelmachów itd. Na kolonjach dalszych: Tacuaral i Cacheira istnieją dwa młyny i tartak, własność braci Nadolnych i Bodziaka.

Brazyljanów w Mateuszu jest szczupła garstka tylko: jeden kupiec, mający rodzaj zajazdu i rzeźnik, mówiący zresztą wcale dobrze po polsku, paru urzędników i na tem koniec.

KRONIKA.

Od Administracji.

Jutro w poniedziałek numer „Dziennika" nie wyjdzie i biura administracji będzie zamknięte przez dzień cały. Numer następny wyjdzie we wtorek jak zwykle o 8. rano.

Djarjusz lwowski. Niedziela 18. kwietnia.

Teatr hr. Skarbka: popołudniu „Baby", komedja Z. Przybylskiego i K. Janoszy; wieczorem „Lohengrin", opera R. Wagnera.

Życzenia wesołych świąt przesełamy wszystkim czytelnikom i współpracownikom naszego pisma.

Kalendarz. Niedziela (18.): Wielkanoc. Wschód słońca o godz. 5. minut 15, zachód o godzinie 6. minut 46.

Panika w kościele. O panice w kościele OO. Dominikanów, o której wczoraj donieśliśmy, otrzymujemy następujące bliższe szczegóły: Już około godz. 6½ popołudniu napełnił się onegdaj kościół OO. Dominikanów tłumami wiernych, oczekujących z niecierpliwością na zapowiedziane przez towarzystwo śpiewackie „Lutnia" „Siedem słów". Z uderzeniem godziny siódmej „Lutnia" zaczęła śpiewać, ale te ściski w kościele stał się niemożliwy — a długie jeszcze płynęły tłumy, ciągle cisnęły się do wnętrza kościoła, chcąc posłuchać doskonałego śpiewu. Tu i owdzie w kościele odzywało się „och" i „ach" i pierwsi jakiejś uciśnionej mabożnej, jakiś energiczniejszy młodzieniec robiąc przejście damom, wołał: „proszę wstecz" — ale nie wiele to pomogło; kto raz wszedł do środka, stał ściśniony i tylko razem z falą mógł się poruszać. Chór zaczął właśnie śpiewać drugie słowo, gdy rozległ się okrzyk: „pali się!" Tego tylko było potrzeba. Cała fala runęła ku jednemu, ciasnemu wyjściu; krzyk, pisk, łomot zagłuszył chór śpiewający właśnie *fortissimo* i — była chwila popłochu, nie dającego się w istocie opisać. W tej chwili jakiś młody oficer obrony krajowej, stojący u samego wejścia, uchwyciwszy lewą ręką drzwi, prawą wyciągnął w środkowi i gromkim, przyprawiającym do komendy głosem zawołał: „Stać, nie ma ognia!" Tłum się zatrzymał. Silny głos wołającego przywołał przerażonych do przytomności. Nastała chwila ciszy, potem hałas wzmógł się znowu, ale już inny, nie tak groźny — i tłumy powoli zaczęły wychodzić z kościoła. W tej chwili jeden z księży wstąpił na ambonę i przemówił uspokajająco do wzburzonych tłumów, z trudnością starając się zapanować nad gwarem. Po krótkim czasie w kościele było już prawie pusto.

Na szczęście więc przykry wypadek ten nie miał żadnych ważniejszych następstw, trudno jednak powstrzymać się od uwagi, że przecież przy podobnych spodziewanych licznych zebraniach, powinien ktoś pomyśleć, by się do obowiązku czuwania nad porządkiem i bezpieczeństwem publiczności. Powinno być wyznaczone osobne wejście i osobne wyjście, przez co uniknęłoby się ciągłego tamowania ruchu i dało możność przypływowi i odpływowi. Co roku dzieje się jednak tak samo!

Mieszkańcy dzielnicy Żółkiewskiej wręczyli tymi dniami p. prezydentowi dr. Małachowskiemu petycję zaopatrzoną przeszło 500 podpisami, w której proszą go o wyjednanie u rządu, aby ulicę Żółkiewską połączono z ulicą Zamkową mostem rzuconym ponad torem kolejowym przez ulicę Podzamcze. W ten sposób mieliby mieszkańcy tej tak bardzo upośledzonej dzielnicy drugie połączenie z miastem, teraźniejsze bowiem jedyne, utrudnione jest niezbyt racjonalną budową rampy kolejowej, która zamyka szesnaście razy dziennie, każdym razem przynajmniej na dziesięć minut. Petenci powołują się na to, że wszystkie ich żądania zostały dotychczas odrzucone; nie wybudowano dworca na placu Sołskich ani nie zniesiono wału kolejowego, który odcina zupełnie połączenie z tą dzielnicą miasta, skutkiem czego nie może się ona podnieść, a nikt tam domów budować nie chce, bo mieszkania stoją pustką. Niech więc przynajmniej tę drobnostkę uczyni rząd zrobić dla tej części miasta. Cały koszt postawienia takiego mostu wynosiłby najwyżej 40.000 zł., a kilka tysięcy ludzi, mieszkających za wałem kolejowym miałoby z niego olbrzymią korzyść.

Rada miejska w Nowym Sączu rozwiązało nadzwyczajnie.

Jubileusz. W sobotę d. 7. bm. obchodził pośmiertny wieńcy czeski Franciszek Prawda (Wojciech Hlinka), sześćdziesiątą rocznicę swoich urodzin. Jubilat jest autorem licznych powieści ludowej. Jego *Povídky z kraje* stanowią ważną chwilę rozwoju nowej literatury czeskiej. Deputacja stowarzyszenia czeskich publicystów „Maj", wręczyła jubilatowi, który dotychczas zupełna cześć swoich urzędników, adres gratulacyjny, w którym zapewniono go, jako „weterana czeskiej powieści ludowej", o czci i miłości całego czeskiego świata literackiego.

Samobójstwo w teatrze. W charkowskim teatrze dramatycznym, podczas przedstawienia gościnnego w Charkowie trupy polskiej, gdy zapuszczono kurtynę po 1. akcie, jeden z widzów siedzący w krzesłach niejaki Gotlewski, wstał i strzelił do siebie z rewolweru. Gotlewski, jak donoszą *Now. Sez.*, był młodym jeszcze człowiekiem bez określonego zajęcia. W pozostawionym liście samobójca przyznaje się, że zawsze pragnął umrzeć wobec tłumów, aby śmiercią swą wywrzeć wrażenie.

Ostatnie chwile Mickiewicza. W Poznaniu przy ulicy Szewskiej pod l. 16, mieszka od lat wielu osiadła pani de Flory, wdowa po oficerze wojsk tureckich, z domu Radzikowska. Jest to starussza 76-letnia, chora na nieuleczalną ciężką chorobę, a choć dawniej dość zamożna, obecnie w zupełnej nędzy pozostająca. Przytomność ma pomimo późnego wieku i wielkich cierpień, jakie znosi, zupełną i chętnie opowiada szczegóły z życia swego, zwłaszcza z pobytu swego w Carogrodzie, gdzie długie lata mieszkała i gdzie przebywa dotąd jedyna jej córka, wdowa po Piwnickim z dziećmi. U niej to mieszkał Adam Mickiewicz ostatnie lata swego życia; ona była świadkiem ostatnich jego chwil, jego śmierci i opowiada z tak drobnemi szczegółami, że nie można o tem wątpić, że tak to się stało. Prócz Adama Mickiewicza mieszkał tam i jego sekretarz Lery z Paryża, który po śmierci jego przeprowadził, i nie w Adamowe w Azji Mniejszej, ale w Paryżu, w grobie rodzinnym, obok swej żony pochowany został. Przeczy ona najzupełniej temu, by Mickiewicz zapadł na cholerę, a szczegóły przez nią podane dowodzą bezwzględnej tego niemożności. Przy śmierci jego obecny był ksiądz katolicki Ławrynowicz, który się zajmował homeopatją. Lekarzem prywatnym był dr. Drozd. Śmierć nastąpiła prawie nagle, gdy Mickiewicz zaczął dyktować swą ostatnią wolę. Obecny kapłan ledwie zdążył wymówić ostatnie błogosławieństwo. Ciało Mickiewicza pozostało trzydzieści trzy dni w mieszkaniu pani de Flory, ponieważ nieskończonem były pertraktacje gdzie go pochować. Mickiewicz umarł w dniu, w którym miał mieć audjencję u sułtana, po której się wiele spodziewał.

Dobry patrjota. Kilka dni temu w *Danziger Ztg.* wyrażono życzenie, żeby polscy goście kąpielowi nie przybywali do kąpieli w Sopotach pod Gdańskiem. Zarazem zapowiadano założenie filji hakatystycznej w Sopotach, która się wnet uprzątnie z polską agitacją. Teraz jakiś „dobry patrjota" niemiecki, w tejże *Danziger Ztg.* wyraża życzenie, żeby się filja hakatystyczna w Sopotach nie zawiązywała, a zarazem zapewnia, że goście polscy bardzo są pożądanymi. Ubolewa też nad zakazem polskich melodyj i przypomina, że w Gdańsku *Männergesangverein* nie dlatego śpiewał najładniejsze polskie pieśni, że są polskiemi, ale dlatego, że są piękne. Kogo razi nazwa „usługa polska", powinien też nie ścierpieć napisów: „*on parle français*", albo „*english spoken*". Gdyby szło według hakatystów, mieszkańcy Sopot musieliby wnet powiedzieć: „Boże chroń nas od naszych przyjaciół". *Danziger Ztg.* podając artykuł ten nadesłany, nie bierze odpowiedzialności za treść jego. Zatem i ona staje po stronie hakatystów.

Pali się! Na bardzo ryzykowny dowcip zdobył się wczoraj jakiś niewyłowiony niestety facet podczas nabożeństwa passyjnego wieczorem w kościele Dominikanów. Kościół był nabity tłumami publiczności, gdy ów kawalarz krzyknął ni ztąd ni zowąd: „Pali się"! W jednej chwili powstała straszliwa panika wśród pobożnych, którzy wiedzeni instynktem zachowania doczesnej powłoki w całości, rzucili się bez pamięci ku drzwiom, przyczem zrobił się tłok taki, że ludzie poczęli się skłębiać w niekształtną masę i dusić. Eergiczniejszym i przytomnym osobom powiodło się jednak na szczęście zapobiedz katastrofie. Prócz lekkich kontuzyj nikt nie doznał poważniejszych obrażeń. Tylko kilka kapeluszy damskich, które dostały się pod nogi przerażonego tłumu, padły ofiarą zamięszania.

Napad orła. Na jadącego konno we wsi Kloczkach na Bukowinie rotmistrza ułanów, napadł olbrzymi orzeł, zdarł mu z głowy czako i byłby zabrał się do obrabiania łysiny, gdyby rotmistrz nie zadał zręcznym cięciem szabli zabić napastnika.

Wybór prezydenta izby adwokackiej lwowskiej, w miejsce ś. p. dr. Jana Czaykowskiego, odbędzie się dnia 30. b. m. o godzinie 4. po południu w lokalu izby.

Kolportaż na Węgrzech. Onegdajszy dziennik urzędowy ogłasza rozporządzenie węgierskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, dotyczące kolportażu dzienników na ulicach. Rozporządzenie to wysłano do wicežupanów i burmistrzów na Węgrzech, z wyjątkiem Siedmiogrodu. Co do historji tego rozporządzenia nadmienić wypada, że mająca po dziś dzień moc obowiązującą ustawa prasowa z roku 1848 zakazuje kolportażu dzienników na ulicach; kolportaż uliczny może jednakże, według rozporządzenia ministerjalnego z roku 1807, być dozwolony na czas przejściowy za poprzedniem zawiadomieniem pierwszego urzędnika municypalnego z równoczesnem przedłożeniem pism, które mają być kolportowane. Na podstawie tego rozporządzenia sprzedawano w ostatnim czasie na ulicach Budapesztu kilka dzienników po cenie jednego centa, lecz rodzaj wywoływania towaru, oraz okoliczność, że używano do tego dzieci w wieku szkolnym i indywidua obszarpane, wywołała wielką niechęć wśród publiczności. Wskutek takiego postępowania czuło się ministerstwo spraw wewnętrznych na podstawie zażaleń zmuszonem wydać następujące rozporządzenie:

Zezwolenie na kolportaż dzienników na ulicach może być udzielonem naprzód na przeciąg 8 dni. Wydawca jest jednakże w takim razie obowiązany przed rozpoczęciem kolportażu przedłożyć władzy odnośny egzemplarz dziennika. Do sprzedaży na ulicach nie mogą być użyte „skandalicznie" wyglądające osoby, ani też dzieci w wieku szkolnym. Oprócz tytułu i ceny nic więcej nie wolno wywoływać, a tem mniej tytuły lub treść poszczególnych artykułów. Również nie powinny dzienniki w natarczywy sposób być ofiarowywane publiczności. W razie gdyby wydawca nie wypełnił powyższych przepisów, zezwolenie na kolportaż dziennika może być natychmiast cofnięte. Władze mają obowiązek zbadać odnośny dziennik co do treści, a w razie, gdyby zawierał artykuły, naruszające moralność i wstydliwość, nie wolno udzielić wydawcy pozwolenia na kolportaż.

Z Warszawy. *Warsz. Dniewn.* pisze, iż przy przejeździe cesarza austrjackiego przez Warszawę, pociąg cesarski nie zatrzyma się na stacji kolei wiedeńskiej, lecz pójdzie wprost na Pragę nadwiślańską, skąd w dalszą drogę wyruszy przez odnogę łączącą dwie koleje, i ominie dworzec kolei petersbursko-warszawskiej.

Kolonja austrjacka w Odessie przysyła deputację do Petersburga celem powitania cesarza Franciszka Józefa.

Curiosum. Do Petersburga przybył anglikański arcybiskup Yorku w celach zawiązania pertraktacyj z przedstawicielami cerkwi prawosławnej o zbliżenie się do niej narodowego kościoła angielskiego, co ma być odpowiedzią na usiłowania Leona XIII., aby zjednoczyć wszystkie wyznania chrześcijańskie pod egidą katolicyzmu. Donosząc o przybyciu arcybiskupa Maclagana, zapewnia *Now. Wremia*, że znajdzie on w Rosji jak najserdeczniejsze przyjęcie.

F. Ayme, były nauczyciel książąt Wilhelma i Henryka, wydał książkę w języku francuskim, p. t. „Une éducation imperiale, Guillaume II". W latach 1875 do 1877 uczył on tych książąt języka francuskiego w Kassel. Książę Wilhelm, dzisiejszy cesarz

---

remu dowcipny Włoch przyprawił łeb dzika. Mniej biegłym w mitologji gościom objaśniono, iż grupa owa przedstawiała przykutą do skały Andromedę, oddaną smokowi na pożarcie.

Nacieszywszy oko owymi wymysły, przeszedł Radziwiłł wraz ze swymi gośćmi do przyległej sali, w której właściwa zastawa oczekiwała ich przybycia. I tu nie brakło kunsztownej dekoracji. Wśród egzotycznych krzewów widać było sadzawkę, wypełnioną lipcowym miodem, z wyspą zielonym owocem pokrytą w pośrodku. Na wyspie pasł się baranek z chorągiewką, mający oczy z dwóch karbunkułów nieporównanego blasku, wydobytych z książęcego skarbca. Na tego baranka godziły cztery dziki ogromnych rozmiarów, upieczone całkowicie, podczas gdy z lasku, utworzonego z drzewek pomarańczowych, obwieszonych rozmaitymi konfektami, wyskakiwało w rozmaitych pozyturach dwanaście jeleni ze złoconymi rogami. W tej sali były same tylko mięsiwa. Ciasta mieściły się w osobnej komnacie, tam znów baby potężne, gdyby skały, dźwigały na swych szczytach urobione z migdałowej masy baszty i mury warowne, przypominające strukturą Jerozolimę. Wśród domów miejskich, z cukru wyrzeźbionych, widniały korony ananasów, naśladujące drzewa palmowe, w bramach zaś tego grodu ukazywały się figury cukrowe, w polewanych pancerzach z czerwonymi krzyżami na piersiach, przedstawiające dawnych krzyżowców. Że wśród tych wszystkich dziwów nie brakło konwi, roztruchanów, czar misternych, wyrobionych ze szczerego srebra i złota, a napełnionych winem, małmazją i miodem — tego chyba dodawać nie potrzeba, gdyż słynął od dawna z swych bogactw dom Radziwiłłowski.

Radziwiłłom nie ustępowali pod względem okazałości w przyjęciu Sapiehowie. U Sapiehy, wojewody wileńskiego w Dereczynie, zastawiono pewnego roku święcone, którego opis znajdujemy w starym kalendarzu poznańskim. Na stole środkowym stał oczywiście baranek z chorągiewką, wypełniony pistacjami, którym to przysmakiem częstowano jedynie damy, tudzież biskupów i senatorów. Natomiast dla szerszego ogółu miłych gości ustawiono w rogach sali cztery odyńce, upieczone w jednej sztuce, a reprezentujące pory roku. Każdy odyniec był wypełniony szynkami, kiełbasami, pieczonem mięsem prosięcia. Nadto ustawiono dwanaście całkowicie upieczonych jeleni z złocistemi rogami, przedstawiających dwanaście miesięcy w roku, a nadzianych przeróżną dziczyzną: zającami, cietrzewiami, dropiami, pardwami. Wokoło na stołach piętrzyły się mazurskie placki, żmudzkie pierogi, nadziewane masą migdałową, serem lub powidłami, baby krakowskie, zwane mądremi, gdyż trwały w świeżości do sześciu tygodni i dłużej, ozdobione inskrypcjami rozmaitemi i floresami.

Placków było pięćdziesiąt i dwa, to jest tyle, ile tygodni w roku. Równa obfitość panowała co do trunków. Były więc cztery puhary napełnione winem z czasów króla Stefana, dwanaście srebrnych konewek z winem Zygmuntowskiem, pięćdziesiąt i dwie baryłek z winem cypryjskiem, hiszpańskiem i włoskiem i pięć gąsiorków z winem węgierskiem. Nadto dla dworskiej czeladzi nasycono 8700 kwart miodu na znak, iż tyle godzin rok liczy.

Lud wiejski, stosownie do swych środków, również stara się o sprawienie dla siebie jak najwspanialszego święconego, a ta gospodyni dumną jest, której święcone pięknością swą i obfitością zwraca uwagę gości.

Święcone lud święci albo u siebie w domu, albo wiezie je do kościoła, gdzie ksiądz po rezurekcji, lub po mszy rannej w niedzielę je święci. Wracając z kościoła gospodarze pędzą do domu galopem, gdyż wierzą, że temu, kto pierwszy wejdzie na swe obejście, bydło wieść się będzie.

Niedziela wielkanocna, jako święto bardzo uroczyste, schodzi na nabożeństwie i w ogóle w sposób zupełnie poważny; wystrzega się lud zbyt głośnej i hałaśliwej zabawy. Na Rusi przez trzy dni świąt dzwonią bezustanku w dzwony.

W Płockiem w nocy z niedzieli na poniedziałek według dawnego zwyczaju chłopcy chodzą po wykupie od chaty do chaty, stają przed nią i śpiewają:

> Od jerzyny do jerzyny,
> Wyłaź, pani, z pod pierzyny,
> Bo my dzisiaj rano wstali,
> Drobną rosę otrząsali.
> My tu z wózkiem nie jeździmy,
> Co nam dacie to weźmiemy,
> Nie proszę o barana,
> Bo nie mam dla niego siana,
> Ani też o owcę,
> Bo ją pod kożuch nie wkopcę;
> Tylko o kiełbasę,
> Co się nią cztery razy opaszę,
> I łyżeczkę masła,
> Żeby się państwu córeczka opasła;
> I jajeczków pięć,
> Żeby się państwu trafił dobry zięć.

W ten sposób zbudzona gospodyni musi koniecznie zadość uczynić prośbie i zajrzeć do spiżarni, aby jakim datkiem uraczyć gości.

Rano znów inne śpiewy; tym razem dziewczęta noszą „gaik". Jest to drzewko przystrojone we wstążki, papierki, lusterka, cel zaś ten sam, co poprzednio chodzących chłopców. Gaik nie pomija nikogo we wsi, wszędzie zatem nowa ofiara z zapasów świątecznych bywa poświęcana za przyjemność wysłuchania odpowiedniej pieśni.

W drugim dniu świąt przypada „Śmigus".

Stary zwyczaj wzajemnego oblewania się wodą, w drugim dniu świąt Wielkiejnocy powszechny jest w Polsce całej zarówno u ludu wiejskiego, jak u mieszczan i szlachty.

Niegdyś w poniedziałek wielkanocny mężczyźni oblewali niewiasty, a we wtorek, nazajutrz niewiasty mężczyzn, co dotąd w niektórych okolicach lud kujawski zachował. Początek tego zwyczaju naznaczono dwojaki — pisze Kitowicz w swych pamiętnikach — jedni mówią, iż się wziął z Jerozolimy, gdzie żydzi schodzących się i rozmawiających o zmartwychwstaniu Chrystusowem wodą z okien oblewali, dla rozpędzenia z kupy i przytłumienia takowych powieści. Drudzy, iż ma początek śmigus od wprowadzenia wiary św. do Polski, w początkach których, nie mogąc wielkiej liczby przyjmującej wiarę chrzcić w pojedyńczych osobach, napędzali tłumy do wody i w niej nurzali.

Oczywiście zwyczaj ten u chrześcijan musiał się przywiązać do jakiegoś wiosennego święta chrześcijańskiego, więc u Polaków do drugiego dnia świąt wielkanocnych. Lud wielkopolski w zwyczaju śmigusowym przechował jeszcze wyraźne ślady pierwotnego obmywania. Parobek bowiem wyłazi tam na dach karczmy wśród wioski, z miednicą w ręku i pobrzękująnią, obwołuje dziewki wiejskie, które nazajutrz będą oblewane, przyczem zapowiada żartobliwie, ile dla której potrzeba będzie fur piasku do jej szorowania, grac do skrobania, ile kubłów wody i mydliska! Zarówno w Wielkopolsce jak i Małopolsce, parobcy w dzień śmigusu łapią dziewoje wiejskie, ciągną pod żuraw do studni, gdzie kubłami wody oblewają, a nieraz całe zanurzają w rzece, lub sadzawce. Dziewczęta nawzajem zmówiwszy się, napadają znienacka na parobka i odpłacają mu równie sowitą kąpielą z wiader i dzbanów.

Dyngusem i śmigusem nazywa się także podarek, dawany małym chłopcom, którzy w drugi dzień Wielkiejnocy chodzą od domu do domu „po dyngusie", czyli włóczebnem i śpiewają piosnki dyngusowe z powinszowaniem świąt uroczystych i przymówiskiem o poczęstne.

Nazwy dyngus i śmigus nie mają pochodzenia polskiego. Wyraz *Dünn-guss* jest czysto niemiecki, oznacza cienkusz, polewkę wodnistą, wreszcie chlust wody na kogoś wylany. Dyngusem nazywali także Polacy polewkę, czyli zupę owsianą postną, której resztki w wielkim poście na Wielkanoc wylewano z garnków.

Na Rusi na święta malują pisanki.

Niedziela przewodnia to dalszy ciąg Wielkiejnocy; pieczą i przyprawiają te same przysmaki, tylko już w mniejszej ilości. W dniu tym świąteczny pozór chat i ich mieszkańców znika i życie wraca do zwykłego trybu aż do Zielonych Świątek, kiedy domy przyozdobione zielenią zewnątrz i wewnątrz nadają znów więcej uroczysty charakter naszym wioskom.

niemiecki, miał wówczas 16 i pół roku, gdy Ayme zajął się jego nauką; książę Henryk był o trzy lata młodszym od swego brata. O księciu Wilhelmie powiada Ayme, że był bardzo żywy, nader uprzejmy, energiczny. Już wówczas zajmował się książę Wilhelm sprawami społecznemi, a był zasad liberalnych. „Gdybym był Francuzem — mówił książę Wilhelm razu pewnego do swego nauczyciela — to byłbym republikaninem. W Prusiech jestem monarchistą, tak samo byłbym nim w Anglji, w Rosji i we Włoszech, ale jako Francuz, Amerykanin lub Szwajcar byłbym republikaninem“. Miesięcznie pobierał prof. Ayme 150 mk. honorarjum. Powiada on o cesarzu Wilhelmie, że gdyby nie był „cesarzem, to byłby niewątpliwie został dziennikarzem. Z jakim ogniem onby to wtenczas walczył! Ale myślę, że nierazby źle na tem wyszedł w kraju, w którym niema wolności prasy“.

Składka na rzecz Falba. Przed kilku miesiącami utworzył się w Berlinie komitet, celem zbierania składek na rzecz znanego meteorologa Rudolfa Falba, który dotknięty ciężką chorobą znajduje się w bardzo niepomyślnem położeniu materjalnem. Obecnie, jak donoszą telegraficznie z Berlina, dokonano obliczenia, które wykazało, że do 1. kwietnia uzbierano 75.214 marek. Z kapitału tego wyłączono 40.000 marek dla żony i pięciorga dzieci Falba, resztę zaś wręczono gotówką jemu samemu, w 60 rocznicę urodzin. Akt darowizny i pieniądze złożyła do rąk Falba deputacja komitetu pod przewodnictwem radcy Guńkiewicza z Berlina, do której należał także delegat komitetu austrjackiego z Wiednia Hans Grasberger z Wiednia i profesor Brandstetter z Gracu.

Odpowiedź redakcji. — *Pani Świeckiej.* — Niestety, nadesłanego nam wiersza, zaczynającego się od słów:

Już kwiecień mija,
Powitajmy więc maja,
A ty, luby maju,
Wracasz pewnie z raju,
Bo wszyscy cię wyczekują,
Różne sobie rojenia snują
I człowiek słaby i zdolny
I kwiatek polny.
Wesołym śpiewem witają cię ptaki
I nawet z swych nor wyłażą robaki —

drukować nie możemy.

* **Wspólne święcone** w Towarzystwie rękodzielników lwow. „Gwiazda“ i w stowarzyszeniu katolickiej młodzieży rękodzielniczej „Skała“, odbędzie się w przewodnią niodzielę d. 25. bm.

* **Na wystawie międzynarodowej wynalazków** w Wiedniu urządzony będzie także oddział polski staraniem redakcji *Dźwigni.* Ponieważ na zamówionej przestrzeni są jeszcze wolne miejsca, przeto chcący jeszcze wziąć udział w wystawie mogą się zgłosić do administracji *Dźwigni* we Lwowie najpóźniej do 28. kwietnia. Mogą być także wystawione modele zgłoszonych do patentowania przedmiotów. Szczegóły podaje *Dźwignia* w numerze z 15. bm.

* **Odczyt.** We wtorek d. 21. bm. o godz. 7½ wieczorem odbędzie się odczyt dr. Józefa Braunera o „usiłowaniu karnem §. 8 u. k.“ na dochód Tow. rygorozantów.

Składki na cele użyteczności publicznej lub narodowe.

Składki na Wawel. Dnia 11. b. m. odbyło się w mieszkaniu p. Bronisławy Seferowiczowej, otwarcie puszek ze składkami na odnowienie Wawelu. W skarbonkach lub gotówką nadesłali: Galic. Bank kredytowy, Bank rolniczy, dr. Barzycki, Walerja Czarniakowska, kasa pocztowa w Czortkowie, August Dąbrowski, Zakład sierót w Drohowyżu, Michał Dydyński, „Dziennik Polski“, dr. Dzikowski z Przemyśla, dr. Józef Ekielski, Fránklowa, dr. Głowiński z Sokala, gal. Kasa oszczędności, Marja Kerekjarto z Sambora, klub szermierzy we Lwowie, kręgielnia kolejowa, Krah Edward, Langner Andrzej, Lisowski za pośrednictwem „Przeglądu“, Markiewicz Stanisław, Kółko Mickiewiczowskie, Mieniecki Mieczysław, hr. Felicja Mierowa, N. N., Eugenjusz Nowicki, dr. Obtułowicz, Pilatowa, Promiński Stan. z Zaleszczyk, Pszanowski, Ricci, Roman Rozwadowski z Drohobycza, Stefanja Ruprecht, Sadłowski, ks. Adamowa Sapieżyna, Bronisława Seferowiczowa, Seidlitz Nowego Targu, Rozalja Simonowiczowa, dr. Skibicki z Brzeżan, towarzystwo łyżwiarskie, Marja Switalska z Drohobycza, hr. Jadwiga Tarnowska, Töpfer, gal. Towarzystwo gospod., zarząd leśny w Uhnowie, Bronisław Ujejski z Sewerynówki, Urzędowski z Brzeżan, Zborowicz, ogółem 299 zł. 70½ ct., z których kwotę 95 zł. 53 ct. ulokowano na książeczkę gal. Kasy oszczędności nr. 60277, a resztę w kwocie 240 zł. 17 ct. na książeczkę nr. 66571. Książeczkę gal. Kasy oszczędności nr. 60267, opiewającą obecnie na 5000 zł., odesłano dnia 12. b. m. na ręce pani A. Ulanowskiej w Krakowie, jako inicjatorki zbierania składek na odnowienie Wawelu i o tem zawiadomiono równocześnie księcia biskupa krakowskiego.

Legenda o niezabudkach.

W rozkosznym gaiku — wśród kwiatów i krzewów,
Wśród rannych wietrzyka, skrzydlatych powiewów,
Szło Boskie dzieciątko powoli.
Szło ciche, przecudne, i rączką nieśmiało
Przechodząc, miłośnie kwiat każdy głaskało,
Co wyrósł tam ślicznie na roli.
Dokoła, trzepocąc wesoło ptaszyny,
Zbiegały się córem nad główką dzieciny,
Ku czci jej uroczo śpiewały,
Śnieżyste konwalje, i fjołki pokorne,
Czeremchy, bzy białe i lilje wytworne,
Do stóp jej kielichy swe słały!
I wszystko co piękne w tej rajskiej krainie
Wznosiło woń słodką ku Boskiej dziecinie
Świat jaśniał tu wdziękiem wiosennym.
A Jezus z zachwytem w niebo się wpatrywał.
To ptaszka popieścił — to kwiatek gdzieś zrywał,
Na ustach z uśmiechem promiennym.

Lecz w ślicznym gaiku maleńka roślina
Wyrosła bez krasy i woni — jedyna,
Nie miała czem dziecię ucieszyć.
Więc smutna tuliła się do stóp mu skromnie,
Wołając: „O Jezu nie zapomnij o mnie,
Gdy będziesz do nieba miał spieszyć.
Patrz dziecię! dla ciebie to nucą skowronki,
Konwalje podnoszą srebrzyste swe dzwonki,
I wszystko to dysze radością...
A jam tak nikczemna, ni barwą, ni śpiewem,
Ni dźwiękiem motylków, ni wonnym powiewem
Nie mogę ci służyć z miłością.“
Więc dziecię, pokorą tej trawki ujęte
Schyliło się nagle, by w dłonie swe święte
Wziąć biedną roślinkę bez woni.
I z oczu najświętszych, upadły dwie łezki...
Aż trawka zmieniła się w kwiatek niebieski
Przecudnie zakwitła mu w dłoni!
I odtąd — co wiosna — gdy świat się zieleni,
Wdzięczna niezabudka, nad brzegiem strumieni,
Przegląda się w wody przezroczu...
A zawsze nachyla swą główkę niebieską,
Ku czystym potokom — w tęsknocie za łezką,
Co spadła z najświętszych tych oczu.

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W teatrze hr. Skarbka: Dziś w niedzielę na dochód Stowarzyszenia wzajemnej pomocy artystów sceny lwowskiej: popołudniu o godzinie pół do 4 „Baby“, komedja w 4 aktach Zygmunta Przybylskiego; wieczorem o godzinie pół do 8 „Lohengrin“, wielka opera Ryszarda Wagner'a. Występ p. Władysława Florjańskiego; jutro w poniedziałek popołudniu o godzinie pół do 4 „Popychadło“, komedja w 4 aktach Szutkiewicza; wieczorem o godzinie pół do 8 „Straszny dwór“, opera narodowa w 4 aktach Stanisława Moniuszki; we wtorek popołudniu o godzinie pół do 4 „Niewolnice z Pipidówki“, komedja w 4 aktach Michała Bałuckiego; wieczorem o godzinie pół do 8 po raz trzeci „Tannhäuser“, wielka opera w 3 aktach Ryszarda Wagnera. Ostatni występ p. Władysława Florjańskiego; w środę po raz trzeci „Urzędowa żona“, sztuka w 5 aktach Savage'a.

Nr. 8 „Dźwigni“, czasopisma przemysłowo-handlowego wychodzącego we Lwowie, zawiera treść następującą: 1. Ze stowarzyszeń naszych przemysłowych i handlowych. 2. Międzynarodowa wystawa wynalazków w Wiedniu. 3. Handel nierogacizną. 4. Z dziedziny technologji. 5. Kronika i informacje przemysłowo-handlowe. W odcinku: 6. Wyprawa do krajów nieznanych na Marsie, fantastyczna powieść Władysława Zawernego. 7. „Żydowscy lokaje“, obrazki społeczne przez Bonawenturę herbu Kociokwik Telefońskiego. Obrazek II.

Wystawa obrazów wzbogaconą została w tych dniach czterma pracami dyrektora Fałata, mianowicie: nadesłał wielkich rozmiarów obraz olejny „Niedźwiedź“ i trzy akwarele: „Widok na Montmartre“, „Z okolic Ułaszkowiec“, oraz „Szkic do „Berezyny.“ Nadto wystawiono: Kotowskiego „Portret śp. dr. J.“, Sichela „Studjum“, Pełczyńskiego „Z okolic Szymbarku“, Strojnowskiego „Szara godzina“ i Błotnickiego „Biust dr. Smolki.“

Wystawa obrazu Popiela Tadeusza i Rozwadowskiego „Branki“ urządzona w hotelu George'a, będzie otwartą przez święta bez przerwy i jak poprzednich dni od godz. 11. zrana do 8. wieczorem.

OSTATNIE WIADOMOSCI.

Jak donoszą *Narodni Listy* w najbliższym czasie zwołany zostanie młodoczeski wiec. Poprzednio zbierze się klub młodoczeskich posłów na sejm i do rady państwa, aby omówić dalsze postępowanie Młodoczechów. Wspomniany dziennik zauważa, iż klub młodoczeskich posłów odroczył swoje obrady nad polityczną sytuacją aż do czasu, w którym ukaże się rozporządzenie językowe dla Moraw. Po ogłoszeniu tego rozporządzenia językowego odbędzie się konferencja klubu poselskiego w Pradze.

Sprawa kreteńska.

(Telegramy „Dziennika Polskiego“).

Ateny 17. kwietnia. Jak słychać, oddziały powstańcze wpadły znowu do Epiru.

Studenci ormjańscy w Heidelbergu wystosowali do tutejszych studentów pismo, w którem wyrażają całą swoją sympatją dla sprawy greckiej.

Londyn 17. kwietnia. *Times* donosi z Aten, iż wojna między Grecją a Turcją musi wybuchnąć w przyszłym tygodniu. W Atenach liczą napewno na to, iż Turcja straci cierpliwość i rozpocznie kroki zaczepne.

Trikkala 17. kwietnia. Cipriani rozwiązał legjon włoski, ma jednak zamiar pozostać na granicy, aby brać udział w operacjach wojennych powstańców.

Kolonja 17. kwietnia. *Köln. Ztg.* donosi z Kanei, iż na okręt austrjacki „Tiger“ strzelali powstańcy. Komendant statku odpowiedział bombami, wskutek czego spłonęły dwa okręty greckie.

Kanea 17. kwietnia. W Hierapetra wybuchły tyfus i ospa. Powstańcy odcięli miastu wodę. Ta sama sytuacja jest w Kandji, gdzie zbuntowali się więźniowie; okręt turecki przewiózł ich na wyspę Rhodus.

Stambuł 17. kwietnia. Minister wojny otrzymał doniesienie, iż między zabitymi, których Grecy pozostawili na polu walki, znaleziono 20 trupów, ubranych w uniformy wojskowe greckie.

Cetynja 17. kwietnia. Mutessarif z Ipeku przybył z wojskiem do Beranu, aby rozproszyć Albańczyków i przywrócić porządek.

Stambuł 17. kwietnia. Dziennik *Ikdam* przynosi inspirowany artykuł, w którym podróż cesarza Franciszka Józefa do Petersburga komentowaną jest jako oznaka pokoju.

Londyn 17. kwietnia. Z Aten donoszą, iż na wyspie Samos wybuchło powstanie, ponieważ Porta chciała wzmocnić tamtejszy garnizon.

Londyn 17. kwietnia. Cofnięcie się oddziałów powstańczych z terytorjum tureckiego zostało zarządzone przez „Heterję“, gdyż każdy przelew krwi jest bezcelowym, skoro armja regularna pozostaje bezczynną.

Arta 17. kwietnia. Wiadomości o ponownem wtargnięciu powstańców do Epiru są fałszywe.

Larissa 17. kwietnia. W ostatniej walce między powstańcami a Turkami stracili drudzy 50 ludzi w zabitych i kilkunastu jeńców.

Laryssa 17. kwietnia. Znany wódz powstańców Brufas zorganizował bandę z 220 ludzi i chce udać się z nią do Chalcis, aby odwrócić uwagę armji tureckiej ku Macedonji.

Ateny 17. kwietnia. Oddział wojska austrjackiego zaangażował się w potyczkę z powstańcami na Krecie, koło Nerkouru, między Suda a Malaksą.

TELEGRAMY „Dziennika Polskiego.“

Wiedeń 17. kwietnia. Cesarz zatwierdził wczoraj wybór dr. Luegera na burmistrza m. Wiednia.

Wiedeń 17. kwietnia. Odezwa klubu niemieckich postępowców w radzie państwa opiewa, iż klub będzie wszelkimi środkami zwalczał rozporządzenie językowe i jego sprawców dopóty, dopóki Niemcy nie odzyskają (?) znowu swych praw.

Madryt 17. kwietnia. Z okazji nabożeństwa wielkopiątkowego darowała królowa rejentka życie 14 skazanym na śmierć, między nimi trzem, którzy brali udział w powstaniu.

Budapeszt 17. kwietnia. Były poseł do parlamentu, Latinowicz, zastrzelił się w Monte Carlo.

Wiedeń 17. kwietnia. *Wiener Ztg.* ogłasza, iż cesarz nadał woźnemu namiestnictwa we Lwowie Michałowi Bednarzowi srebrny krzyż zasługi.

Wiedeń 17. kwietnia. We wtorek odbędzie się uroczyste zaprzysiężenie burmistrza m. Wiednia dra Luegera. Na dzień ten zapowiedziano wielkie uroczystości.. Wystąpią straże ochotnicze pożarne, komitety pań itd. itd. Na podwórzu ratuszowem towarzystwa śpiewackie odśpiewają kantatę. Wieczorem odbędzie się iluminacja. Domy przystrojone będą w dywany i flagi.

Londyn 17. kwietnia. Do Biura Reutera donoszą, że do portu Durban, w południowej Afryce leżącego w pobliżu republik Oranji i Transwaalu, zawinęło wczoraj niespodziewanie siedm pancerników angielskich, a dwa dalsze zawinąć miały wieczorem. Nie wiadomo nic, dokąd te pancerniki płyną i jakie jest ich przeznaczenie.

Petersburg 17. kwietnia. Jenerał-adjutant Czertkow przydzielony zostanie cesarzowi austrjackiemu podczas pobytu jego w Rosji.

Z izby handlowej i przemysłowej.

Lwów 17. kwietnia 1897 r.

I. Akcje za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 200 zł. m. k. 216·75 do 219·75. Kolej Lwow.-Czern.-Jassy po 200 zł. w. a. w srebr. 287·— do 291·—. Bankn hipot. po 200 zł. w. a. 392·— do 402·—. Banku kred. galic. po 200 zł. w. a. 210·— do —·—. Garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 190·— do 202·—. Fabryki wagonów w Sanoku przedtem Lipińskiego po 500 koron — 250 zł. w. a. 250·— do 260·—.

II. Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% w. a. wylosowal. z 10% prem. 110·10 do 110·80. Banku hipot. gal. 4½% w. a. los. w 50 lat 100·— do 100·70. Banku hipot. gal. 4% w. a. losów w 60 lat po 200 koron 96·70 do 97·40. Banku krajowego 4½% w. a. los. w 51 lat. 100·50 do 101·20. Banku krajowego 4% w. a. los. w 57 lat. 97·50 do 98·20 Tow. kred. galic. ziemsk. 4% (I. emisja) 97·60 do 98·30. Tow. kredyt. gal. ziem. 4% los. w 41½ lat. 97·60 do 98·30. Towarz. kredyt. galic. ziem. 4% los. w 56 lat. 97·40 do 98·10.

III. Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% w. a. 97·90 do 98·60. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% w. a. 103·— do —·—. Kom. Banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·— do 102·70. Komunalne Banku krajowego 4½% w. a. III. em. 100·— do 100·70. Pożyczki krajowej 6% w. a. 103·— do —·—. Pożyczki kraj. 4½% w. a. —·— do —·—. Pożyczki kraj. 4% w. a. z roku 1891 —·— do —·—. Pożyczki kraj. 4% po 200 koron — 100 zł. w. a. z roku 1893 97·90 do 98·60. Pożyczki 4% gminy miasta Lwowa 97·10 do 97·80.

IV. Losy. Miasta Krakowa od 24·50 do 26·50. Miasta Stanisławowa od 41·— do —·—.

V. Monety. Dukat ces. 5·62 do 5·72. Napoleond'or od 9·50 do 9·60. Półimperjał 9·55 do —·—. Rubel ros. srebrny 1·20·— do 1·25·—. Rubel ros. papierowy 1·26·40 do 1·27·40. 100 marek niem. 58·40 do 58·90.

Przyjechali do Lwowa.

dnia 17. kwietnia 1897 r.

HOTEL ZORZA. M. hr. Tyszkiewiczowa z Brodów. M. Gąsowska, St. Bełza z Brodów. St. Rożnowski z Krakowca. T. Pohorecki z Dydni. B. hr. Plater z Królestwa Pol. Dr. K. Estreicher z Krakowa. L. Schodenhofer z Brodów. J. Abeles z Gałaczu.

Nadesłane.

(Rubryka ta nie pochodzi od redakcji, która też nie bierze na siebie żadnej za nią odpowiedzialności).

Skład damskich towarów modnych. Zwraca się uwagę czytelników na dołączony do dzisiejszego numeru prospekt wiedeńskiego składu towarów modnych Józefa Nideckiego.